ROK PIĄTY.

№ 17.

WARSZAWA

d. 10 (22) kwietnia

1860.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1527.

NIEDZIELA.

2ga po Wielkiej-Nocy.

„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Nie mniemaj, aby twoje było, co masz; Boże jest, Bogu je dać winieneś: nie psuj niewdzięcznością wielkiej łaski Jego. (*Czytania Bractwa Miłosierdzia na każdą Niedzielę roku przez X. P. Skargę.*

Prawdziwa pobożność.

—

Ta niewiasta dnie i noce
Modlitwą sobie przeplata....
Nie sąd o niej według świata,
Obacz modłów tych owoce;
Bo jeżeli wśród pacierzy,
Jako rządna gospodyni
Ochędóstwo w domu czyni,
Do krówki chętnie wybieży;
Jeśli kocha posłuszeństwo
Przy ślubie zaprzysiężone,
I jak przystało na żonę,
Uznaje męża starszeństwo;
Jeśli z uczuciem słodyczy
Lubi mówić: to tak zrobię,
To zaniecham, bo tak sobie
Ukochany mąż mój życzy;
Jeśli dziatki poumywa,
I poczesze codzień rano,
Da naukę pożądaną...
Jej pobożność jest prawdziwa!

Bardzo często się spowiada...
Ale jeśli po spowiedzi
Postrzegają to sąsiedzi,
Że jest bliźnim więcej rada,
Dla ubogich bardzo tkliwa,
W domu cichsza, potulniejsza,
A przed Bogiem pokorniejsza...
Jej pobożność jest prawdziwa!

—

Corok bywa w Częstochowie...
Ale jeśli mąż pozwala,
Dobry spowiednik pochwala,
Nie przeszkadza dziatek zdrowie;
Jeśli mężniej pokonywa
Przeciwności po powrocie,
Utwierdzona lepiej w cnocie...
Jej pobożność jest prawdziwa!

—

Pości dużo... Jeśli przy tem
Kłamstwa się jak ognia chroni,
Sławy cudzej chętnie broni
Przed oszczerstwem jadowitem;
Jeśli w sercu nie ukrywa

Nienawiści przeciw komu,
Poklasków nie jest łakomą...
Jej pobożność jest prawdziwa!

—

Codzień jednej, dwóch mszy słucha...
Ale jeśli za powrotem
W usposobieniu jest złotem,
Gniewem nagle nie wybucha;
Jeśli odbiera natchnienia
Z niebios przy świętej ofierze,
By na trudne poświecenia
Wydać życie swoje szczerze;
Jeśli codzień jej przybywa
Cierpliwości, codzień świętsza,
W bieżeniu z usługą prędsza...
Jej pobożność jest prawdziwa!

Szkółka w Brzozówce.

II.

(Dokończenie).

—

Kościołek we wsi, a w nim codzienna możność za pierwszym brzaskiem poranku zebrania się na modlitwę, jest prawdziwem dobrodziejstwem dla wieśniaka, i zbawiennym wpływem na jego pracę, życie domowe i usposobienie moralne.

Gdy głos dzwonka odezwie się z wieżyczki, a pola okryte poranną rosą powtórzą jego przeciągłe echo; jakoś przykro, śpiesząc do pracy, przejść mimo drzwi uchylonych kościołka, a nie wejść, aby choć króciutką modlitwą polecić się Bogu i prosić o błogosławieństwo całodziennej pracy. Wieczór znów po znoju i trudzie, gdy wracając od roli, wieśniak śpieszy do domu, a otwarte karczmy podwoje wabią go nadzieją rozrywki, pogadanki z sąsiadem; znów dzwonek kościelny wzywając na Anioł-Pański, odbije się mimowolnie w duszy, odpędzi pokusę: uchyli wieśniak czapki, przeżegna się i już prosto zmierza do chaty, gdzie go czeka wieczerza sporządzona przez skrzętną gosposię i spoczynek pokrzepiający siły.

A gdy jeszcze prawdziwy pasterz owczarni Pańskiej dba o swoje owieczki, usiłuje wpłynąć na nie słowem wiary świętej, rady w złej doli, pociechy i pomocy w smutku nie skąpi, o! to szczęśliwe tam życie i łaska Stworzyciela pewno w tem siole przebywa. Tak się też działo w Brzozówce. Sędziwy pleban, zacny ksiądz Marcin, dawny rodziny Tarmińskich przyjaciel, przybył do Brzozówki jednocześnie prawie z panią Tarmińską, otrzymawszy od niej na to probostwo prezentę. Cichy, pokornego ducha, a pełen wielkich cnót kapłan, dla siebie surowy, dla drugich przebaczający i łagodny, był prawdziwym skarbem całej okolicy; sam ubogi, chętnie jednak ostatnim kawałkiem chleba przełamał się z nieszczęśliwym. Kochali go też parafianie, a każde jego słowo wyrzeczone na niedzielnej nauce, lub u kratki konfessyonału, prosto padało na serca poczciwego ludu, jak zdrowe ziarno na żyzną niwę.

—

Brzozówka teraz inaczej wyglądała: nadeszła wiosna, ślicznie było na świecie. Już się zmierzchać zaczynało, księżyc wypłynął na niebo, a ksiądz Marcin jeszcze z głową pochyloną siedział nad księgą. Wtem niespodzianie ciszę panującą wokoło przerwało mocne szczekanie psa, starego Rozboja, wiernego stróża plebanii. Spojrzał kapłan za Rozbojem i ujrzał w bramie kobietę ubogą, lecz schludnie ubraną, która się do niego zbliżała.



Rysów jej twarzy osłabiony wzrok księdza dokładnie rozpoznać nie mógł, lecz stary psisko widać poznał znajomą, bo przestawszy szczekać, zaczął się łasić koło niej.

Kobieta stanąwszy przed księdzem Marcinem, widząc, że nie jest poznaną, zawołała drżącym od wzruszenia głosem:

— Ojcze dobrodzieju! ja jestem Martą, wychowanką pani Tarmińskiej, tą, która przed ośmią laty opuściła to sioło i sama jedna puściła się w świat szeroki.

Pleban powitał Martę, i zaczął badać o powody tyloletniego tułactwa:

—Powiedz dziecię moje, mówił, co cię znagliło do opuszczenia tego spokojnego ustronia, w którem wieś cała tobie rodziną była, zkąd wzięłaś odwagę do udania się w świat ci nieznany, a na nim jakie życie wiodłaś? Czy nie zapomniałaś, dodał surowszym mierząc ją wzrokiem, rad i nauk twojej opiekunki, czyś nie zboczyła z drogi cnoty i uczciwości? Mów śmiało dziecię moje, wyrzekł łagodniej, widząc łzy w oczach Marty, Pan Bóg jest nieprzebrany w swém miłosierdziu.

— Nie ojcze! zawołała Marta, nigdy nie obraziłam pamięci dobrodziejki mojem życiem. Pan Bóg był opiekunem biednej sieroty wpośród nieznanego świata. On to pozwolił znów tu szczęśliwie powrócić, zobaczyć rodzinne miejsca i zapłakać na grobie rodziców i opiekunki.

Gdy ksiądz Marcin pokonany spokojem rozlanym na twarzy Marty, tém nie zawodném świadectwem czystego sumienia, zachęcił ją do mówienia, tak zaczęła swoje opowiadanie:

— Wiesz ojcze, czem była pani Tarmińska dla mnie i dla całej Brzozówki; o mojem do niej przywiązaniu i wdzięczności nie będę tu mówiła... Bóg widzi moje serce. Pamiętam jakby to było wczoraj, na dni kilka przed śmiercią, w czasie ostatniej przechadzki na ulubiony za ogrodem wzgórek, ta matka moja patrząc ze łzami na naszą wioskę, mówiła, że jedna myśl, jedno niespełnione postanowienie nie daje jej umrzeć spokojnie. Na moje prośby powiedziała, że pragnęła w Brzozówce założyć szkołę wiejską, że to oddawna wyłącznie myśl jej zajmowało. Ale wydawszy wszystkie dawne zasoby na odbudowanie zgorzałej wioski, do dopełnienia tego zamiaru nie miała już żadnych funduszów. Dodała w końcu, że 3000 byłoby może na ten cel dostateczne; ale wówczas ani środków, ani już czasu nie miała do tego. Ta była jej ostatnia myśl, ostatnia ze mną rozmowa.

Tu łkania głos Marty stłumiły; uspokoiwszy się nieco, tak dalej mówiła:

Odtąd we dnie i w nocy brzmiało mi nieustannie w uszach i w sercu to ostatnie mej opiekunki życzenie. Ale uboga sierota mogłażem myśleć o jego spełnieniu? A zdawało mi się, że do zaspokojenia popiołów mojej drogiej pani tego koniecznie było potrzeba. Różne myśli i zamiary przechodziły po mej biednej głowie, smutek ogarniał serce. Jednej niedzieli wychodząc z kościoła, spotkałam siostrę organisty, która od dwóch lat służąc w Warszawie, przybyła odwiedzić brata. Od niej to dowiedziałam się, że w tem wielkiem mieście sługi dobrze są płatne, jeśli wiernie i uczciwie służą. Umyśliłam więc sobie udać się do Warszawy i służyć, pracować póty, póki zebranych 450 rubli w twoje ojcze ręce nie złożę na dopełnienie ostatniej woli pani Tarmińskiej. Wtenczas w mojej młodości i prostocie nie zważyłam wszystkich trudności, jakie mnie czekały. Ale Pan Bóg miłosierny widocznie czuwał nademną. Przybywszy do Warszawy jak do lasu, sama jedna, ledwo się dopytałam do Joanny siostry organisty. Z jej to pomocą znalazłam służbę. Ciężko było z początku, bo chcąc wziąć większe zasługi, zgodziłam się za kucharkę i pokojówkę razem. Państwa było kilkoro, robota od świtu do nocy. Ale powoli przyzwyczaiłam się, a gdy po upływie roku państwo odliczyli mi 36 rubli i na drugi rok obiecali postąpić, o mało im do nóg nie upadłam. Pięć lat przesłużyłam w tym domu; praca choć ciężka nie przykrzyła mi się wcale, bom się jej oddała szczerze: dobro pańskie obchodziło mnie jak własne. Państwo też przyzwyczaili się do mnie, a widząc dobre chęci i staranność z mej strony, byli dla mnie dobrzy i wyrozumiali. Tak sobie robotę uszykowałam, że jeszczę codzień miałam czas o godzinie szóstej rano Mszy świętej wysłuchać w kościele księży Bernardynów, jako najbliższym naszego mieszkania. Życie to nie było mi wcale ciężkie, i nieraz z zadziwieniem słuchałam skarg i

narzekań innych służących, które we dwie, lub we trzy jeszcze sobie rady dać nie mogły. W ciągu tych lat pięciu córka moich państwa wyszła za mąż; pomagałam szyć wyprawy w wolnych od usługi godzinach. Za tę pomoc będącą z mojej woli, dla której niejednę noc poświęciłam, dobrzy moi państwo osobno mię wynagrodzili. Tak więc po pięciu latach uzbierało się czystego grosza 1500 zł., gdyż na swoje wydatki bardzo mało potrzebowałam. Obliczywszy jednak dobrze i przekonawszy się, że najmniej drugie tyle czasu trzeba będzie służyć, nim się zbierze 450 rubli, jakoś odstępowała mnie odwaga, gdy raz, w czasie nagłej słabości mej pani, o szóstej godzinie rano biegnąc po doktora na Senatorską ulicę, pod filarami koło teatru znalazłam pugilares; podniosłam go, włożyłam do kieszeni, a po powrocie do domu otworzyłam ciekawie. Oprócz pieniędzy, których było tam kilka tysięcy w papierach, znajdowała się miniatura ślicznego małego chłopczyka, bogato oprawna w złoto i drogie kamienie. W pierwszej chwili uszczęśliwiona, uważałam to za dar nieba, a patrząc na znalezione pieniądze jako na swoję własność, już chciałam wracać do Brzozówki, wystawiając sobie, z jakiem to szczęściem uklęknę na grobie pani i powiem, że jej życzenia będą już wkrótce spełnione, jak zobaczę te drogie miejsca, bez których lat tyle tęskniłam! Ale ta moja grzeszna radość prędko minęła; głos wewnętrzny ostrzegł mnie, że to cudza własność, do której ja nie mam prawa, że ktoś pewno w tej chwili opłakuje stratę drogiej pamiątki, a może i jedynego majątku. Zakłopotana, znów otworzyłam pugilares i znalazłam w nim list, którego adres wskazał mi, gdzie mam szukać właścicielki znalezionych przedmiotów. Nazajutrz więc rano idąc z koszykiem po mięso, udałam się do wymienionego na liście pałacu, spytałam o mieszkanie hrabiny; wskazano mi je. Ale długo galonowana służba biednej kucharki wpuścić niechciała, aż musiałam powiedzieć interes, który mnie przywiódł. Gdym weszła do pokoju, hrabina zaledwie ujrzała w mojem ręku pugilares, krzyknęła radośnie, a wziąwszy go odemnie i nie spojrzawszy nawet na pieniądze, miniaturę z czułością do ust swych przycisnęła. Był to portret ukochanego jej syna. Gdym już wychodzić miała, zatrzymała mnie i tysiącem zarzuciła pytań; musiałam opowiedzieć, jak dawno jestem w Warszawie, gdzie służę, wszystko, aż do wczorajszego znalezienia pugilaresu. W końcu wsunęła mi w rękę kilka papierków; których nie chciałam przyjąć, ale tak ujmująco przemawiała do mnie, żem się opierać nie śmiała, tem więcej, że owa szkoła znów mi na myśli stanęła. Byłam więc bogatszą o rubli 90, gdyż taką summę ofiarowała mi hrabina. Ten dowód Opatrzności Boskiej ukrzepił moje siły zupełnie, i trzy ostatnie lata, które przebyłam u tych samych państwa, dziwnie prędko mi zeszły, a nawet z żalem opuściłam tę rodzinę, na której usługach lat ośm spokojnie przeżyłam. I oni ze łzami mnie żegnali i namawiali do powrotu. Ale ja już drugi raz Brzozówki nie opuszczę, będę pracowała z tymi, wpośród których się urodziłam, a jak szkoła będzie, to i ja się na co przydam, dodała radośnie: będę uczyła szyć wiejskie dziewczęta.

Otóż i cała moja historya; a teraz, powiedziała, oddając woreczek z swoim skarbem w ręce rozczulonego plebana, teraz wy ojcze będziecie wiedzieli, co zrobić z tym sierocym groszem, aby popioły naszej dobrodziejki pocieszyły się w grobie.

Ksiądz Marcin z rozrzewnieniem pobłogosławił poczciwą Martę i pochwalił jej szlachetne, a tak rzadkie poświęcenie. Uzyskał pozwolenie, zajął się wybudowaniem szkoły, sprowadzeniem nauczyciela; a w rok potem Marta uszczęśliwiona, oblewając grób swej opiekunki łzami radości, mogła powiedzieć, że spełniła jej ostatnią wolę, dając dowód tak bezprzykładnego poświęcenia się.

Cnoty Marty Pan Bóg nagrodził na tej ziemi jeszcze: nauczyciel wybrany przez księdza proboszcza, człowiek nieskazitelnej poczciwości i dosyć zamożny prosił o rękę Marty, która prośbę jego za namową zacnego plebana, przyjęła. Syn pani Tarmińskiej Stanisław powróciwszy do kraju i dowiedziawszy się o wszystkiem, wyznaczył dożywotnią pensyę dla Marty i jej małżonka, a zamieszkawszy w Brzozówce, uważał ich za najpierwszych swoich przyjaciół.

———

Rady dla włościan

Z Hygieny popularnej.

—

Gdy w inną niedzielę takoż po nieszporach, już z własnej ochoty zatrzymali się zebrani włościanie na cmentarzu, oczekując na przybycie zacnego księdza proboszcza, Stanisław Ziemba starszy w gromadzie i powszechnego używający zachowania pomiędzy gospodarzami, odezwał się do otaczających go kmieci:

— Moiście wy kochani, po przemówieniu naszego dobrodzieja zeszłej niedzieli, to przez całutką noc oka zmrużyć nie mogłem, co tak sobie medytowałem jego wyrazy; a kiedy sobie wspomniałem, jak to nam dobrodziej wyrzucał, co nam pilniej było do karczmy, ani żeli do pożytecznej nauki, to aż ciarki przeszły po mnie i cały zapłonąłem się od wstydu za was i za siebie, iżeśmy na podobny wyrzut zasłużyli. Trzeba nam się więc moi bracia poprawić, boć dobrodziej i szczerą prawdę powiedział, i dokumentnie nam to wyłożył, że wiele naszych niemocy pochodzi z nadużycia w trunkach i w jadle, i że to grzech wielki przed Bogiem. My zwłaszcza starsi gospodarze powinniśmy dać ze siebie przykład młodszym i zarzec się pijaństwa i obżarstwa, aby dowieść dobrodziejowi, że nam słowa jego do serca trafiły.

Na przemówienie to ozwały się liczne głosy: wasza prawda Stanisławie! trza nam będzie o tem pomyśleć. W przyszłą da Bóg doczekać niedzielę, dołożył Grzela, zejdziewa się wszyscy starsi jak tu jesteśma do Stanisława na radę, a z tem, co uradzimy, udamy się do dobrodzieja, deklarując mu szczerą poprawę.

— Z miłą chęcią do siebie was zapraszam, odrzekł Stanisław, bo wierzę, że ze wspólnej rady coś dobrego dla gromady wyniknie, a przez cały tydzień dobrze se medytujcie, co macie radzić, aby po próżności drogiego czasu nie zmarnować.

Ksiądz proboszcz, który od kilku chwil był nadszedł, przysłuchiwał się tej rozmowie, i radość zabłysła mu w twarzy, że tak słowa jego gromada wzięła do serca; odezwał się więc do otaczających:

— Cieszę się i potwierdzam postanowienie wasze wspólnej narady, w tak poczciwych powziętej zamiarach. Błądzić jest rzeczą ludzką i to się każdemu przytrafić może, bo słaba jest natura nasza; chcieć się podźwignąć z upadku, jest dziełem niezepsutej jeszcze duszy— dobrze sobie więc o was tuszę, kiedyście nauki mojej mimo uszu nie puścili, ale ją sobie rozpamiętywacie W naradzie waszej pomnieć na to winniście, aby z niej pożytek nie tylko dla was samych ale i dla dzieci waszych wyniknął. Żeście w ciężkie błędy popadli, wina w tem po części i waszej ciemnoty, że was odmłodu złego nie oduczali, i że rodzice wasi w swem zaślepieniu sami przyzwyczajali was do wódki, jak to i dziś czynią niejedne matki, co dzieciom swoim jeszcze w pieluchach, po kilka kropel wódki do ust wlewają sądząc niebacznie, że ta ich siły rozwinie i pokrzepi. Tym sposobem trują swoje dzieciska i do złego przyzwyczajają nałogu, a czem skorupka z młodu nasiąknie, tem trąci na starość. Otóż zaklinam was, abyście dzieci wasze lepiej chowali; pieniądze na gorzałce oszczędzone, gdy macie intencyę jej się wyrzec, składajcie na szkółkę i nauczyciela—ja wam w wyszukaniu poczciwego człowieka pomogę, a wy mieć będziecie pociechę, że dzieci wasze czegóś się przecie nauczą i do dobrego odmłodu nawykną: że się nauczą czcić Boga i kochać bliźniego, przebaczać im winy i urazy, tak jak pragniemy, aby i nam winy nasze Pan Bóg przebaczył. Nie chować do nich gniewu i zawziętości; trzeba wam bowiem wiedzieć, iż *gniew* nie tylko że jest wielkim grzechem, ale takoż zdrowiu szkodzi i śmierć przybliża; bo całą duszą i ciałem tak trzęsie, jak wiatr osicą, a krew tak w żyłach burzy, iż chciałaby nieraz aż oczami wykipić. Oj, gniew moi ludzie, to jakby ogień we wnętrzu, co płuca pali. O lada co, ba! o najmniejszą rzecz unosicie się gniewem; widzimy zaś, że baby jeszcze gniewliwsze są od chłopów. Kura przez płot przeskoczy i na grzędce ci grzebie, jużci się unosisz gniewem wielkim na twoją sąsiadkę. Zaraz z tego kłótnia, swar, przekleństwo i obraza Boga, a razem ujma na zdrowiu i życiu. Wróci nieraz baba do izby, nakłóciwszy się z sąsiadą, czerwona jak upiór, wargi się jej trzęsą, z oczów ogień tryska, a czupryna na głowie poczochrana, a czasem i gęba podrapana świadczy, że się na słowach nie skończyło, ale że przyszło do bicia. Zaraz żółci

przybywa, która się rozlewa po ciele, a z tego febry, żółtaczki, a czasem i paraliż. Braknie okazyi kłócić się z sąsiadą, to się baba kłóci z mężem, albo z domownikami, a gada i wydziwia i trajkocze dopóty, dopóki jej nieustąpią. Jak niema się z kim kłócić, to psa nogą kopnie, bydło bije i za własnemi gęsiami kołkiem albo kamieniem rzuca, a przeklina; aż wreszcie ze złości garnek pchnie do ogniska i warem się obleje, rękę oparzy i dopiero płacze ze złości i narzeka! Któż ci winien moja kobieto, żeś się oparzyła? Gniew to twój własny sprawił, a jeśli się tak często gniewać będziesz, to sobie nie tylko rękę warem, ale całe ciało ogniem w piekle oparzysz.

Baby, jak mówią, częściej się gniewają, ale też i chłop jak gniewliwy, to wygląda jak ten wilk, albo ów dziki zwierz, co nie ma rozumu, tylko samą złość w sobie i żarłoctwo. Straszna to rzecz widzieć chłopa w karczmie, kiedy podpiwszy sobie, szuka z sąsiadem, jak to mówią, okazyi. Odgrzebie powód od lat dziesięciu albo dwudziestu, po pradziadku albo po babie, i dalejże na drugiego wywoływać! Sąsiad obrażony odpowie słowo, pijak i zawadjak odpowie mu dwa, albo trzy i grozi biciem. Niedługo potem chwytają się za gardło lub za czupryny: jużci bójka na śmierć! Drapią się paznokciami po gębie, krew płynie, aż w końcu chwytają się wpół i mocniejszy słabszego obala na ziemię. Tu dopiero pięścią w piersi, albo kolanem w brzuch morduje rozjuszony napastnik jak bydlę, lub jak jaka dzika bestya.

Oj! moi ludzie! w takim złym człowieku i gniewliwym nie dopatrzy się już nikt podobieństwa do obrazu Bożego, na który jest każdy z nas stworzonym. Bóg nie poznaje swojego stworzenia, ludzie bliźniego, a nawet pies albo bydlę zwiesiwszy ogon, ucieka przed takim człowiekiem, bo widzi, iż go zły duch opętał, i że wszędzie wkoło siebie gotów jest siać cierpienie, boleść, mękę i chorobę. Jak zaś dopełni miary swej djabelskiej zemsty, to sam wygląda jak opętaniec. Ziaje szybko zmęczonemi płucami, ręce mu się i nogi trzęsą, krew zasinieje na policzkach, język ma od gorączki spalony i gadać nie może, tylko się miota, aż go porwą sąsiedzi i do domu albo do aresztu zaprowadzą. Z tego później w powiecie ciągnie się sprawa; wodzą się zawadjaki do sądu, który i karę cielesną, areszt i opłatę pieniężną naznacza. A piękna to rzecz stawać przed sądem, jak jaki rozbójnik i odbierać chłostę lub areszt odsiadywać! Człowiek taki sądzony i osławiony, nigdzie już niema dobrego oka; wszędzie o nim mówią jako o zawadjaku, zabijaku, napastniku! Na jarmarku jaki-taki go omija, sąsiad się wysokim płotem od niego odgradza, we dworze nie przyjmą go na zarobek. Policya już takiego ma na oku, powiat słowu jego i świadectwu nie dowierza, a kościół Boży czeka jego poprawy, ale często i przebaczenie na czas zatrzymuje. Tak więc zawadjak i bitnik nie ma ani u Boga, ani u ludzi łaski, a martwi się i często dostanie żółtaczki, albo tyfusu... i jużci po nim!

Dąbrówka.

Podanie niesie, że Mieczysław (1) urodzony roku 931, przyszedł na świat niewidomym, i dopiero w siódmym roku, gdy odbywano jego postrzyżyny (obrzęd pogański), przejrzał, co miało być przepowiednią jego wyjścia z błędów pogańskich. Jednak długo już rządził narodem Polskim, a nie porzucał bałwochwalstwa. Przecież wiara święta rozszerzała się zwolna w jego państwie w skutek stosunków z Czechami.

Niektórzy panowie otaczający księcia, którzy już byli chrześcianami, namawiali go, aby prosił o rękę Dąbrówki, córki Bolesława Srogiego, księcia Czeskiego, przedstawiając, że przez to zapewni sobie przyjaźń potężnego monarchy. Dał się nakłonić Mieczysław i kilku znakomitych panów swojego dworu wysłał w tym celu do Czech. Życzenia księcia Polskiego przyjęto, lecz za najpierwszy warunek do tego związku położono mu przyjęcie wiary chrześciańskiej, na co Mieczysław, do którego serca zaczęły się już wciskać promienie nauki Zbawiciela, chętnie przystał. Wkrótce potem Dąbrówka otoczona biskupami i księżmi katolickimi, przyjechała do Polski. Mieczysław poznawszy piękną i cnotliwą mał żonkę, pokochał ją, a czyniąc zadosyć jej życzeniom, wziął się usilnie do rozszerzenia

(1) Mieczysław książe w Polsce panujący od r. 931 do 992, wprowadził wiarę chrześciańską do kraju.

wiary świętej. Ale naród przez tyle wieków pogrążony w bałwochwalstwie, niechętnie się poddawał naleganiom monarchy i wpływom duchowieństwa; gdzie niegdzie tylko pojedyńcze rodziny przyjmowały chrzest święty, i to jeszcze musiały się z tem ukrywać przed sąsiadami, lękając się prześladowań.

Mieczysław pragnąc przyśpieszyć rozszerzenie wiary, postanowił zwiedzić kraj cały, i wybrał się niezwłocznie na tę ważną wyprawę. Małżonka zaś jego zostawszy samą w zamku Gnieźnieńskim, poswięciła życie na niesienie pomocy chorym i nieszczęśliwym. Ta pani pełna cnót chrześciańskich, często niepomna na swą dostojność królewską, okryta skromną odzieżą, w towarzystwie jednej tylko służebnej zwiedzała naodludniejsze miejsca, schronienia nędzy i niedostatku, niosąc wsparcie, pociechę, a zarazem rzucając światło Boskiej nauki w serca nieprzeniknione nią jeszcze.

Pewnego razu, gdy słońce miało się już ku zachodowi, dwie niewiasty grubemi okryte sukniami przeszedłszy całe miasto, przebrnęły z trudnością błotnistą kałużę i udały się do chaty na uboczu stojącej. W tej chacie, która na owe wieki należała do zamożnej rodziny, leżała chora staruszka na łożu ze skór wilczych usłanem, opodal siedział człowiek sędziwy i co chwila podawał jej jakieś pokrzepiające napoje; byłto jeden z kapłanów z księżną do Polski przybyłych. Chorą kobietą była Dobrogniewa, wdowa po znamienitym rycerzu poległym na polu bitwy w czasie zaciętej walki z Niemcami, usiłującymi ujarzmić Polskę pod pozorem wprowadzenia do niej chrześciańskiej religii. Ostatnią jej pociechą był syn jedyny dzielny, i nieugiętej woli młodzieniec, zagorzały obrońca pogańskiej swych praojców wiary. Jego to Dobrogniewa z męztwem, którém dawne Polki słynęły, wyprawiła na boje; lecz gdy monarcha i mężne rycerstwo powróciło, a Wszebór nie przybywał, była pewną, że równie jak ojciec poległ od niemieckiego oręża. Ciągłą boleścią i niepokojem miotana, w ciężką niemoc zapadła. Księżna Polska będąc aniołem opiekuńczym wszystkich nieszczęśliwych, i do chaty Dobrogniewy niosła ratunek i pociechę; a nie będąc od niej znaną zupełnie, oszczędzała staruszce kłopotu, jakimby ją były nabawiły odwiedziny tak dostojnej osoby.

Gdy weszły niewiasty i pozdrowiły przytomnych słowem chrześciańskiem, jedna z nich przybliżywszy się do łoża chorej, zapytała słodkim głosem:

— Jakże się macie sędziwa Dobrogniewo?

— Lepiej mi, odrzekła, wam to i waszej pani, która was tu przysyła, winną jestem moje ocalenie i to uspokojenie ducha.

— Nie nam, ale temu Bogu, w którego uwierzyłaś. On to w swojem miłosierdziu dodał ci męztwa w smutku, powraca zdrowie, a może i pociechę zeszle, pozwalając oglądać syna.

— Oby się twe słowa spełniły, zawołała staruszka, składając ręce do modlitwy. W tej chwili zgiełk wielki dał się słyszeć przed chatą, drzwi się rozwarły i młodzian dorodny, otoczony gronem przyjaciół wpadł do izby. Byłto Wszebór syn Dobrogniewy, a nie uważając na krzyk radości matki, groźnie zawołał, wznosząc topór do góry:

— Kto śmiał namówić matkę moję do przyjęcia obcej wiary?

Jedna z niewiast odezwała się spokojnie:

— Nas to Bóg obrał za narzędzie swej łaski.

— Więc to wy nieszczęsne powyrzucałyście bogów naszych?

Zabić je, wołali towarzysze Wszebora. On już miał cios wymierzyć, gdy Dobrogniewa przerażona rzucając się pomiędzy syna i niewiasty, zawołała:

— Stój! one mi życie ocaliły... a przy tem maszże oręż swój zbroczyć we krwi bezbronnych pod własnym dachem?

Wszebór opuścił prawicę i wyrzekł nieco spokojniej:

— Prawdę powiedziałaś matko: w chacie Polaka najzaciętszy wróg jego może być bezpiecznym; ale poczekajcie, dodał groźniej... Zemsta moja dosięgnie was jeszcze, a zerwawszy ze ściany wizerunek Zbawiciela, wyrzucił go za odchodzącemi.

—

Niedługo potem wielki ruch panował na dworze Mieczysława: książe powrócił z wyprawy; wiele ludzi zbiegło się, jedni, aby długo niewidzianego zobaczyć monarchę, drudzy, aby powitać krewnych będących w jego orszaku. Długo na zamku oczekiwali Mieczysława znakomitsi panowie, radząc o sprawac

kraju. Około południa dwóch pachołków ogłosiło, że książe sam będzie niektóre sprawy sądził; otwarto podwoje, a tłum cały z dziedzińca wszedł do zamku. W największej izbie, na wywyższonym krześle siedział książe Polski, wymierzając sprawiedliwość. Po niejakim czasie z pośród zgromadzonych wystąpił mąż poważny, a wskazując ręką na środek komnaty, rzekł:

— Oto panie, ten Wszebór z Lasotyna opierał się twoim rozkazom, nie dozwalając niszczyć bałwanów, a powróciwszy do domu i zastawszy matkę swoję chrześcianką, zamiast iść za jej przykładem, znieważył krzyż Pański, wyrzucając go z domu, a w jego miejsce umieścił swe bóstwo pogańskie.

Głosy oburzenia ze wszech stron słyszeć się dały:

Wypędzić go z kraju! śmiercią ukarać! wołali zapaleni wyznawcy wiary świętej. A Mieczysław powstawszy ze swego krzesła, groźnie zapytał:

— Wszeborze! czy uznajesz się winnym tego oskarżenia, które na ciebie dowódca mej straży zanosi?

— Uznaję, odpowiedział śmiało Wszebór; lecz gdy w tłumie spostrzegł matkę, słabą jeszcze Dobrogniewę, która swojemi prośbami usiłowała łagodzić okropne wyroki wydawane na jej syna, śpuścił oczy; książe zaś tak dalej mówił:

— Teraz nie chcąc być sędzią w mej sprawie, wam ją panowie oddaję, gdyż ten sam Wszebór z Lasotyna podniósł zbrodniczą rękę na małżonkę naszę, a waszę księżnę.

Tu urzędnik książęcy opowiedział szczegóły zdarzenia zaszłego w chacie Wszebora, a wtedy oburzenie stało się powszechnem. Dobrogniewa zaś widząc, że jej błagania wśród takiego hałasu nie są nawet słyszane, w rozpaczy i obawie utraty syna, gdy go zaledwie odzyskała, jako chrześcianka padła na kolana i prosiła Boga, aby jej syna ocalił.

Wtem z przyległej komnaty wyszła szlachetna Dąbrówka, w towarzystwie kilku niewiast, ubrana w bieli, z wiankiem przylaszczków na skroniach, a przesuwając się szybkim krokiem pomiędzy rozstępującym się tłumem, stanęła przed krzesłem księcia i rzekła:

— Daruj panie, że niewezwana przychodzę; ale moję tu sądzą sprawę, chciałabym jej być przytomną... Naprzód błagam mego małżonka i pana o przebaczenie dla Wszebora.

— Nie! tego uczynić nie mogę, odparł książe—radni panowie przyłączyli się do zdania Mieczysława, przedstawiając Dąbrówce, jak szkodliwe skutki mogłyby wyniknąć z takiego pobłażania.

Wspaniałomyślna księżna odpowiedziała:

— Pomnijmy, że jesteśmy chrześcianami i przekonajmy Wszebora, że jeżeli jego bogi są niezgód i kłótni przyczyną, to nasz przeciwnie jest Bogiem spokoju i przebaczenia.

Na te słowa ucichła wrzawa, a Dąbrówka, kiedy książe, nigdy nieodmawiający prośbom księżniczki, uległ i teraz jej wstawiennictwu, postąpiwszy ku Wszeborowi, rzekła:

— Jesteś wolny!

Dobrogniewa ściskała kolana księżnej, oblewając łzami wdzięczności. Wszebór przed chwilą tak dumny, upokorzył się, a ukląkłszy przed monarchinią, błagał o przebaczenie winy.

Wkrótce potem zacięty bałwochwalca Wszebór z Lasotyna przemienił się w najgorliwszego wyznawcę wiary świętej, sam jej nauczał i z największą troskliwością rozszerzał w narodzie. Czego surowe rozkazy i siła zbrojna uczynić nie zdołała, jedno słowo chrześcijańskiego przebaczenia dokazało z łatwością.

Ten sam Wszebór z Lasotyna poźniej znakomite przysługi wyświadczył Mieczysławowi i dał dowody wielkiego poświęcenia. Opłakiwał z ludem całym zawczesną śmierć Dąbrówki, a potem Mieczysława. Następnie doczekawszy sędziwej starości, radował się, patrząc na pomyślność i potęgę kraju, pod rządami Bolesława Wielkiego.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90—kwartalnle k. 45— miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwolona, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie. Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 10 (22) kwietnia 1860 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*